

Czy Neron był skrzypkiem?

Organy przygrywały do obiadu lwom pożerającym chrześcijan, a niewiasty grające na niebiańskich rzekomo harfach pałętały się po warszawskich podwórkach.

Oto historia instrumentów, jakiej nie znacie.

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI



**Ordynaci i trędowaci.
Społeczne role
instrumentów
muzycznych**

ADAM CZECH

słowo/obraz terytoria, Gdańsk

Dlaczego jedne instrumenty cieszą się poważaniem, a inne są wyśmiewane? Prestiżowa hierarchia instrumentów zadziwiająco przypomina hierarchię społeczeństw. Odpowiednikami władców świeckich są fortepian i skrzypce („wizerunek doskonałości”, jak mawiał Yehudi Menuhin). Najwyższymi kapłanami - organy i harfa. Do arystokracji należałyby „dworska” trąbka, a do mieszczaństwa - „salonowa” wiolonczela.

Chłopstwo mógłby reprezentować - niesłusznie, ale o tym poniżej - akordeon, miejski proletariatus - bandžo. Kasę pariasów tworzyłyby altówki, skrzypce podobne ofiary niezliczonych dowcipów w środowisku muzycznym (cytat z forum dla muzyków: „wpisujcie jakieś głupoty - od razu zastrzegam, że nie chodzi mi wyłącznie o altówki”). Na buntowników idealnie nadawałyby się instrumenty, które wygrywały soundtrack XX-wiecznych rewolucji kulturowych: saksofon - symbol jazzu, i gitara elektryczna - symbol rocka. I tak dalej.

Niby nic odkrywczego, jak to w socjologii, która często uwidacznia i wyjaśnia to, co i tak już wiemy. Ale „Ordynaci i trędowaci” to inny przypadek. Autor umiejscawia instrument w hierarchii, wyklada po bożemu jego rodowód, by zaraz potem wytrącić czytelnika z równowagi. Wyobrażam sobie, jak z triumfalnym uśmiechem rajcuje się: „No i co!? Figa z makiem! Jest kompletnie inaczej, niż ci się wydawało”.

Mezo i Mozart

Tym autorem jest poznański socjolog Adam Czech. W znakomitych „Sprzedawcach wiatru” z 2008 r. Czech wykazał, jak złudne jest postrzeganie muzyki tradycyjnej jako tworu o odwiecznym i niezmiennym charakterze. Przypominał, że muzyka wiejska nieustająco zmieniała się pod wpływem muzyki z miast. Najlepszym przykładem kariery akordeonu, ulubionego wynalazku XIX-wiecznych mieszczan, zaimportowanych przez muzykantów na wieś.

W „Ordynatach i trędowatych” Czech spogląda na ostatnie trzy tysiące lat kultury Zachodu. W niezliczonych meandrach eseju upycha gigantyczną wiedzę wyniesioną z własnych badań i obserwacji, literatury polskiej, angielskiej, francuskiej i czeskiej. Potrafi jednym tchem powołać się na hit rapera Meza i wersety z Biblii, wypowiedzi Piazzolli i książkę „Jak futbol wyjaśnia świat”, dzieła Mozarta i teledysk gwiazdy eurodance’u Haddaway’a.

Fortepian a maszyna do pisania

I tak dowiadujemy się, że odwieczny, zdawałoby się, mit dotyczący „magii skrzypiec” i ich „nobilizującej mocy” (Neron miał grać na nich podczas pożaru Rzymu) ma rodowód co najwyżej XVIII-wieczny. Nim ambitni rodzice zaczęli sprawdzać, czy w ich pogaciech nie drzemie talent na miarę Paganiniego, największym prestiżem cieszyli się muzycy grający na violach, a jeszcze wcześniej - na lutniach. Organiści w śre-



Jazzowy gigant Art Tatum wybrał karierę pianisty, bo „na skrzypcach trudniej jest postawić kufel z piwem”

dniowiecznej Francji protestowali przeciw przynależności do jednej korporacji zawodowej ze skrzypkami, „nauczycielami tańca i grajkami ulicznymi”. Skrzypkowie grali na stojąco, więc kojarzyli się z wodzirejami, a nie szlachetnymi lutnistami. W języku polskim zamęt pojęciowy wzmagają brak rozróżnienia między skrzypkami „rypiącymi” na weselach i wirtuozami z filharmonii. W krajach anglosaskich ci pierwsi grają na fiddle, a ci drudzy na violin.

Odwrotnie jest z drugim najbardziej prestiżowym instrumentem - fortepianem, który po polsku jest czymś wyraźniej innym niż pianino. Po angielsku oba instrumenty określa się często tylko słowem piano, co powoduje liczne problemy w tłumaczeniach. Piano nie jedno bowiem ma imię. Może być lśniąącym steinwayem, którego klawiaturę głaszczą w świetle reflektorów młodzieniec z bujną fryzurą (wizerunek dominujący w ojczyźnie Chopina), albo niestrojonym od dekad meblem służącym do zaznaczenia statusu przy gościach. Rozklekotaną klawiaturą w burdelach albo obiektem tortur pioniera rock’n’rolla Jerry’ego Lee Lewisa, który z fortepianu wyrwał struny. Podstawką pod piwo dla genialnego pianisty Arta Tatum’a albo ulubioną zabawką drobnomieszczańskich pańien. Jak zresztą zauważa wyczulony na wątki genderowe Czech, słowo „taper”, u nas służące do określania pianisty improwizującego do niemej filmu, wywodzi się z francuskiego czasownika oznaczającego pisanie na maszynie, czym zajmowały się kobiety. Maszyna miała powstać na wzór fortepianu.

Organy grają, lwy pożerają

To jednak nie wobec problemów z tożsamością instrumentów budzących najbardziej wzniosłe skojarzenia. Harfa zawdzięcza wysoki status Staremu Testamentowi, miał na niej grać król Dawid. Problem w tym, że nie sposób ustalić, czym był kinnor, instrument, o którym wspomina Biblia - przed wiekami słowo to błędnie przetłumaczono i tak już zostało. A w dzisiejszym hebrajskim kinnor oznacza... skrzypce.

W Polsce harfa jeszcze na przełomie XIX i XX w. cieszyła się znikomym prestiżem. Na ulicach polskich miast można było zobaczyć wędrujące harfistki, najczęściej Czeszki w zielonych lub żółtych sukniach. Stanisław Prószyński w „Świecie mechanizmów grających” przywoływał szczegółowe dane: „Liczyla (...) Warszawa 1889 roku 420 katarzyniarzy, 116 harfistek, 46 skrzypków

podwórzowych oraz wszelkiego rodzaju wirtuozów dętych i rżniętych instrumentów około dwustu”. Autor sugeruje, że harfistka cieszyła się podobnym uznaniem co uliczna handlarka, a nawet prostytutka.

Najbardziej paradoksalna jest jednak historia organów, „tchnienia Boga”. Organy okazują się tymczasem rezultatem tchnienia mechanika Ktesibiosa z Aleksandrii, który wynalazł je w 250 r. p.n.e., razem z „pomysłowym zegarem i sikawką strażacką”. Donośny dźwięk instrumentu wspaniale nadawał się do podgrzewania atmosfery podczas walk gladiatorów i spektakli pożerania chrześcijan przez lwy.

Papież potępił saksofon

Najciekawiej w „Ordynatach...” czyta się rozdział o mało popularnym w Polsce mandolinie i bandžo. Czech jest mandolinistą i umie dać na papierze wyraz swej pasji.

O ile mandolina może się jeszcze kojarzyć z folklorem południa Europy - i słusznie, o tyle bandžo co najwyżej przywołuje na myśl „Wesołego Romka” z „Misia” oraz muzykę białych Amerykanów - dixieland i country. A przecież ten muzyczny symbol konserwatywnego Południa, przywędrował tam z Afryki. Przez całe dekady grali na nim niewolnicy. Biali - tylko na przedśmiewczych minstrel shows; czernili twarze, opowiadali głupie kawały i przedrzeźniali czarnych. Dopiero w drugiej połowie lat 40. XX w. bandżyści pojawili się w składach zespołów country, a to za sprawą Earla Scruggsa, wirtuoza grupy Blue Grass Boys (jego wujek zarzucił mu, że „za cholerę nie jest śmieszny!”). Nurt ochrzczony mianem bluegrass stał się popularny także na Północy i wśród reprezentantów tzw. folkowego odrodzenia, w tym komunistów (zmarły niedawno bard Pete Seeger) i Żydów. Takim lukim bandžo wróciło na Południe, gdzie trafiło także w ręce rednecków.

Na początku XXI w. trudno wyobrazić sobie, by papież mógł potępić saksofon, a prawo - zakazywać gry trębaczom w wysokim rejestrze. Historia, także historia instrumentów, płynie jednak wartko. Jest więc nie tylko pewne, że nasi potomkowie nie będą rozumieli naszych „odwiecznych” muzycznych obyczajów. Może nie będą ich nawet śmieśliwy dowcipy o altowiolistach. ●